Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Kossowskiego.*

Obłąkany.

Oszalał, rzuca na ludzi przekleństwa,
I przeciw Bogu otwiera swe us a —
Oszalał, ale przyczyną szaleństwa,
Nie była wcale płochość, ni rozpusta.

Chciał pożytecznym być dla człowieczeństwa,
Zdobywał prawdy — dziś myśl jego pusta!
W spadku zostały mu tylko męczeństwa,
I dziki wyraz — na twarzy jak chusta.

Tłum ludzi, biegnąc, zewsząd go otacza
Niezwykłych zdarzeń zawsze ciekaw bardzo;
Widać po twarzach, że szaleńcem gardzą —

Wtem, wśród zebranych słychać głos tłumacza:
„Patrzcie! Grom w niego z błękitu uderzył,
Niech ginie marnie — on w Boga nie wierzył!"

J. Klemensiewicz.

Szkoła poprawcza

dla dzieci rodziców zamożnych.

Tego rodzaju szkoła, jedyna w Europie istnieje we Francji, w pobliżu miasta Tours, przy osadach rolnych dla przestępców małoletnich; rzeczone osady utworzono jeszcze w r. 1840 i służą one za wzór wszystkim tego rodzaju instytucjom w Europie. Szkoda zaś, o której chcemy mówić, powstała w roku 1855 pod nazwą „Maison paternelle" i założona została przez twórcę osad rolnych, De Metza, w tym celu, by przyczynić się do poprawy takich chłopców nieletnich, z którymi rodzice rady sobie dać nie mogą. Dotąd w „Maison paternelle," to jest przez 37 lat, jego istnienia przebywało w nim przeszło 2,000 młodych chłopców.

Dzieci, dla których urządzony został ten zakład poprawczy, oczywista rzecz, nie podlegały nigdy karom sądowym. Należąc do sfer inteligentnych, już przez samo swe położenie społeczne, nie znają one nędzy materjalnej i żyją wśród warunków, w których niezmiernie rzadko przytrafiają się występki. Ale są to zwykle dzieci zepsute przez pobłażanie, lub otoczenie rozkapryszone, rozleniwione i niekiedy dochodzą do tej granicy, przez którą już leży zbrodnia. Zdarza się zwykle że wszelkie środki do poprawienia tego rodzaju chłopców na nic się nie przydadzą, zwłaszcza jeżeli w rodzinie niema ojca, tylko matka wdowa, która po prostu zbyt kocha swych synów i w następstwie sobie rady z nimi dać nie może.

Co z takim chłopcem robić? Wypędzono go ze wszystkich zakładów naukowych, z czego on korzysta i oddaje się tem namiętniej i tym łatwiej swym złym narowom. Matka nie ma na niego wpływu, niekiedy i ojciec wyczerpał wszelkie środki karności domowej i widząc, że te nie skutkują, sam nie wie jak sobie postąpić. W prawdzie we Francji istnieje prawo, mocą którego ojciec lub w razie jego śmierci matka może się domagać decyzji, mocą którego syn może być zamknięty do więzienia na kilka miesięcy i utrzymywany tam przez rodziców. Ale z prawa tego mało kto korzysta, gdyż oddanie syna do więzienia jest to jedno i to samo co go stracić. Choćby bowiem oddzielnie był pomieszczony od innych przestępców, to w każdym razie więzienie bardzo źle może oddziałać na jego stronę moralną, rozdrażnić go jeszcze bardziej, nadewszystko przez całe życie będzie nosił na sobie plamę.

Cóż więc robić?

Chcąc tę kwestję rozwiązać, założono w Mettrey zakład naukowy poprawczy, pod nazwą „Domu ojcowskiego" (Maison Paternelle). Mieści on się w specjalnie na ten cel wybudowanym gmachu, nie mającym nic wspólnego z osadami rolnemi dla przestępców, małoletnich, które także w tem miasteczku istnieją. Oba tylko zakłady są pod zarządem jednej i tej samej osoby; jak obecnie oficera dymisjonowanego marynarki, kapitana Clusea. Co zaś do systemu postępowania z młodzieżą w osadach rolnych i w „Domu Ojcowskim", to są dwie rzeczy różne. W szkole poprawczej dla dzieci rodziców bogatych przyjęty został system odosonionego, ale zamknięcia tego nie można klaść na równi z tak zwanym po więzieniach systemem celkowym. Co dzień bowiem takiego chłopca odwiedza dyrektor, ksiądz i nauczyciele. Prócz tego codziennie chłopiec z jednym z nauczycieli lub dozorcą odbywa przechadzkę, trwającą całą godzinę; przechadzka ta, w razie jeżeli chłopiec dobrze się zachowuje, może trwać dłużej. Przez resztę dnia chłopiec pozostaje sam jeden, nie mając innej rozrywki jak tylko zajęcie się nauką.

Gmach szkolny wznosi się tuż przy kościele, w ten sposób, ażeby wychowańcy jego mogli słuchać mabożeństwa. Celek w ogólności jest trzydzieści, na dole i piewszem dwupiętrze i mieszczą się one dokoła sali ogólnej, piętrowej. Są one rozmaitej wielkości, drzwi od nich wychodzą na salę ogólną, w której stale przebywa dozorca, obowiązany na każde zawołanie którego kolwiek z wychowańców wejść do celi. Między celami pojedyńczemi nie ma żadnej kommnikacji; przytem wychowańców wyprowadzają z cel zawsze tylko po jednemu, tak, że nie znają się oni wcale i nie spotykają się ze sobą nigdy, nawet na przechadzkach spotkanie jest niemożliwe i bywały zdarzenia, że dwaj rodzeni bracia znajdowali się w „Maison Paternelle“ i nie wiedzieli o tem wcale. Pod tym względem przezorność kierowników zakładu jest doprowadzoną rzec można, do ostatecznych granic, i w ogólności oprócz dyrektora nikt inny nie wie o nazwiskach wychowańców. Każdy z nich ma swój numer, nawet w aktach urzędowych zakładu i pod tym numerem całemu personalowi jest tylko znany.

Zwykle nowo przebyłego pomieszczają w celi najmniejszej. Jeżeli chłopiec z tego jest niezadowolony, gniewa się i unosi, co zresztą bardzo często się przytrafia, to na wszelkie jego uwagi odpowiadają z nadzwyczajnym spokojem i nie zmuszają do pracy, ale uprzedzają, że jak tylko mu do tego ochota przyjdzie nauczyciel natychmiast się zjawi. Powoli samotność zmusza chłopca do rozmyślań, nudzi się tęsknotą wkrótce uwięziony sam zaczyna prosić o jakie zajęcie. Żądaniu temu czyni zwierzchność zadość; przybyły nauczyciel stara się upadłemu na duchu chłopcu dodać odwagi i przedstawia mu rezultaty do jakich dojść może przy dobrych chęciach i pomocy nauczycielskiej.

Jakkolwiek tego rodzaju postępowanie z młodzieżą, może się wydawać okrutnem, to jednakkierownicy zakładu utrzymują, że jest ono koniecznem i nieuniknionem, że inaczej zakład nie prowadziłby do celu. Ponieważ prawo we Francji pozwala rodzicom zamykać dzieci najwyżej na pół roku, więc w tak krótkim czasie należy na zepsutego chłopca tak silnie i stanowczo oddziałać, żeby usposobienie jego uległo koniecznie zmianie. Według założyciela tej instytucji De Metza, system celkowy jest jedynym środkiem poprawienia zepsutych chłopców; doświadczenie jawnie przekonało o jak najlepszych rezultatach tego systemu. W braku wszelkiego rodzaju rozrywek, młodzieniec zastanowić się nad sobą, rozmyślać i pracować, powoli budzi się w nim także uczucie religijne. W końcu do tego przychodzi, że największą dla zamkniętego karą jest pozbawienie go na czas jakiś pracy.

W miarę tego, jak wychowaniec zaczyna się uspakajać i pracować, przeprowadzają go do coraz obszerniejszych pokojów, w których ma już swoje wygody, dobre łóżko, stolik, małą biblioteczkę, kilka krzeseł i t. d. Tutaj to chłopiec przygotowuje się do lekcji, a cztery razy na dzień przychodzą doń nauczyciele. Wykłady w szkole przygotowawczej trzymają się programu średnich zakładów naukowych, prócz tego uczą tu języków, muzyki i gimnastyki i fechtunku. Wielu przygotowuje się do egzaminu dojrzałości i zwykle zdaje go wybornie.

Zdarza się niekiedy, że chłopcy tak się przyzwyczaili do porządków panujących w zakładzie, że po wyjściu zeń sami dobrowolnie tu wracali, utrzymując, że lepiej tu mogą oddawać się nauce niż w domu. Nie ma roku, żeby tego rodzaju wypadek się nie przytrafił.

Szkoła posiada 15 nauczycieli, z których stali, za 6 godzin lekcji dziennie, otrzymują oprócz mieszkania, jeszcze 2,000 fr. pensji rocznej. Niektórzy nauczyciele języków przyjeżdżają z Tours, mając zaledwie dwadzieścia minut drogi koleją żelazną.

O rezultacie zajęć chłopca w szkole poprawczej, dyrektor zawiadamia rodziców dwa razy miesięcznie. Rodzice mogą odwiedzać swych synów każdej chwili.

Stół jest dobry, dozór bardzo pilny, utrzymanie wogóle wygodne, ale nie może ono być taniem. Dla tego też szkoła może być dostępną tylko dla zamożnych. Przy zapisie płaci się 100 franków, a następnie od 250 do 300 fr. miesięcznie. Za lekcję języków obcych płaci się osobno.

Wielu z wychodźców „Domu ojcowskiego“ zajmuje dziś bardzo szanowne i wybitne stanowisko. Często się zdarza, że młodzieniec, wyszedłszy ze szkoły przez całe życie z nią nie zrywa, ale co jakiś czas uwiadamia zwierzchników o swem powodzeniu lub niedoli, co dowodzi jak przyjacielski, jak serdeczny stosunek zawiązuje się w niej między uczniem a nauczycielem.

Że taka szkoła w każdem społeczeństwie jest konieczną, nikt zapewne o tem nie wątpi i dla tego szkic niniejszy drukujemy.

Les Cent-Gardes.

Sedan to Waterloo drugiego cesarstwa!

W tej katastrofie, która żałobą okryła Francją, zasługują na wspomnienia dzieje garstki gwardzistów przybocznych (Les Cent-Gardes), towarzyszących cesarzowi Napoleonowi do ostatnich chwil panowania.

Oto garstka gwardji stoi właśnie koło podprefektury, w której zamieszkał Napoleon III. Wszystko już stracone i ci waleczni błagają cesarza, by w ich otoczeniu na czele pułków kawalerji odważył się na szalony krok i przebił się przez szeregi nieprzyjacielskie.

Cesarz odmawia i, narażając się na śmierć, zrezygnowany na wszystko, biernie poddaje się fatalności. Podczas tych śmiertelnie długich godzin Napoleon stoi na moście miejskim lub na peronie przed gmachem podprefektury. Przy nim raniono generała Courson i jednego z ka-

pitanów głównego sztabu zabito. Pułkownik „les Cent Gardesu" jął za rękę cesarza, chcąc go nakłonić, by schronił się do apartamentów.

Następuje kapitulacja i synowiec wielkiego cesarza udaje się sam. bez eskorty, złożyć miecz cesarzowi Wilhelmowi.

Jakże jesteśmy daleko od tego widowiska, na które w Paryżu składały się pojazdy dworskie otoczone gwardją przyboczną w paradnych mundurach.

Gwardzistów wziętych w niewolę, odesłano do koblencji. Ciężkie chwile przeżyli w tem mieście. Cierpieli biedę tak wielką, iż kilkakrotnie pisali do dowódcy swego, pułkownika Verdy'ego, również wziętego do niewoli, skarżąc się na swe położenie. Pułkownik doniósł o tem cesarzowi, będącomu podówczas w Wilhelmshöhe i monarcha kilkakrotnie posyłał znaczne posiłki pieniężne swym dawnym ulubieńcom.

Oto kopia jednego z autografów Napoleona III w tej sprawie:

Wilhelmshöhe, 31 grudnia 1870.

Kochany Verdy!

Otrzymałem z przyjemnością list od ciebie i dziękuję ci za zapewnienia twej wierności. Jeszcze jestem w możności na skutek tego żądania udzielić pomocy gwardzistom (les Centgardes), znajdującym się w Koblencji Mam nadzieję, iż tym sposobem położenie ich polepszy się choć trochę.

Życzliwy ci
Napoleon.

Gwardziści przyboczni po powrocie z niewoli zostali włączeni do kirasjerów, stojących załogą w Orange, a pochodzących z pułku zniszczonego pod Reichshoffen.

Na kilka dni przed katastrofą sedańską następca tronu opuścił armią, eskortowany przez pluton gwardzistów, pod dowództwem porucznika Watrin.

W dniu 26 sierpnia 1870 r. syn Napoleona III był w Tourteron, w sobotę 27 o siódmej rano wyjechał do Mezières, o północy nadszedł rozkaz wyjazdu i następca tronu udał się do Aresne. Pozostawał tam do 1 września. Następnego dnia odjechał do Landvecins i zajął mieszkanie mera, p. Souffleta.

W dniu 3 czerwca zaczeły nadchodzić złe wieści. Następnego dnia książę następca z orszakiem przejechał do Maubeuge i tu dowiedziano się o przegranej pod Sedanem i upadku cesarstwa. O godzinie 3 książę w największej tajemnicy opuścił Maubeuge. Wyjechał, wyprowadzony tylnemi drzwiami z domu pani Marchand. Dom zamknięto, wszystkich mieszkańców zatrzymano wewnątrz pod strażą gwardzistów. Wieczorem, jak zwykle, salony były oświetlone i obiad podany dla samego porucznika Wartina, ktory chory ze zmartwienia, udawał iż go spożywa. I gdy tłum był pewny, iż następca tronu bawi jeszcze w mieście, on był już w drodze ku granicy belgijskiej.

Książę, rozstając się z gwardzistami, ucałował serdecznie porucznika Wartina, podziękował mu za oddane usługi i pożegnał jednem słowem „Adieu!"

Gwardziści przyboczni byli ostatnimi, ktorzy żegnali nieszczęśliwego księcia na ziemi francuzkiej, a wspomnienie tych chwil wywołuje dziś jeszcze łzy w oczach posiwiałych wiarusów. Ostatnia eskorta syna cesarza, po rozmaitych przygodach, powróciła do Paryża pod wodzą swego porucznika.

Cały ten świetny pułk gwardji, z wyjątkiem więźniów w Koblencji, został wcielony do drugiego pułku kirasjerów.

Wzorowy ten pułk pod dowództweem Marianiego bił się następnie przez cztery miesiące w okolicach Paryża z kawalerją niemiecką. Pierwszy szwadron (pochodzący z „les Cent-Gardes") dawał przykład waleczności. Pierwszy szedł w ogień i ostatni się cofał; pod gradem kul i bomb ci podziwu godni żołnierze robili ewolucje spokojnie i dokładnie, jak na paradzie. W rozkazach dziennych pułkownika Maraniego, jenerała de Bernis i diwizjonera Bertin de Vaux pozostała niejedna zaszczytna wzmianka o pierwszym szwadronie drugiego pułku kirasjerów.

Dwie autentyczne anegdoty z owych czasów o wzmiankowanym pułku przechowały się w pamięci współczesnych. W dniu 19 sierpnia toczyła się walka pod Chantillon, — Piechota ustawiona była wzdłuż drogi do Bievre po za cegielniami, które chroniły ją przed ogniem nieprzyjacielskim.

Drugi pułk kirasjerów pod dowództwem półkownika Marianiego, stojąc w czystem polu wystawiony był na straszny ogień trzech baterji niemieckich i strzały piechoty, zajmującej Meudon. Jenerał widząc ten pułk, w którym pierwszy szwadron, złożony z „les Cent-gardes" zachował jeszcze niebieskie tuniki, stojący spokojnie pod gradem kul i granatów, posłał adjutanta z rozkazem do pułkownika Marianiego, iż jeżeli uważa niebezpieczeństwo za zbyt wielkie, może zająć pozycję obok piechoty z tylu za cegielniami.

Mariani, jeden z niewielu walecznych 8 pułku kirasjerów, wypadkiem ocalonych z pod Reichshoffen. odrzekł adjutantowi: Powiedz pan jenerałowi, że gdy pułkownik po raz pierwszy ma zaszczyt prowadzić w ogień ten piękny pułk — mówiąc to ukazał ręką na pierwszy szwadron — wtedy nie do niego należy sąd, czy niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie! Kazano utrzymać mi pozycją i utrzymam ją, dopóki nie dostanę rozkazu odwołnjacego.

Tymczasem żołnierze z szablami w pochwach stali bez ruchu w piekielnym ogniu. Wreszcie, by zasłonić odwród, zaczęli szarżę, a była to istna lawina waląca się na nieprzyjaciela.

W kilka dni później, 30 sierpnia, szczątki tego pułku i resztki brygady generała Bernis

przypuściły szarżę do folwarku Notre Dame des Mechcs pod Mesly. Nieprzyjaciela nie widziano, gdyż Niemcy według zwyczaju, oszańcowali się na folwarku i porobili strzelnicy w murach. Do tego folwarku i tych murów miał przypuścić szarżę drugi pułk kirasjerów! Pułk bez zwłoki czasu rozpoczął szturm murów, ziejących strzałami. Naoczni świadkowie opowiadają, że kule brzęczały po pancerzach, jak gęsty grad po szybach okien.

Po licznych walkach i po tysiącznych dowodach bohaterstwa, ogłoszono zawieszenie broni, szczątki gwardji przybocznej skierowały się ku Orange, gdzie przyłączono je do rozbitego całkowicie pod Reichshoffen 2 pułku kirasjerów.

Oficerowie rozprószyli się. Pułkownik Verdy i wielu innych podali się do dymisji, niektórzy przeszli do rozmaitych pułków, a wielu legło w grobie. Przy życiu zostaje jeszcze około dwunastu z dawnego pułku gwardji przybocznej. Na mocy przyjacielskiej umowy wszyscy zjawiają się na pogrzebie każdego zmarłego.

Taki jest koniec historji pułku „Centsgardes“, który przez lat szesnaście był ozdobą armii francuzkiej...

Kilka słów o Wörishofen.

(Ciąg dalszy).

Pod wieczór każdego dnia ks. Kneipp miewa dla swoich gości kąpielowych odczyt, na którym przystępnie stara się wyłożyć zasady i szczegóły swego leczenia. Odczyty te są bardzo uczęszczane, gdyż ks. Kneipp odznacza się wielką swadą i poważne opisy chorób przeplata często anegdotami i żartami, zaprawionemi dobrym humorem. W czasie odczytu, słuchacze zadają często piśmienne pytania o swoich chorobach, kładą uprzednio kartki na mównicy, na co ks. Kneipp odpowiada zawsze przy końcu każdego odczytu.

Oblewania i wszelkie zabiegi hydropatyczne odbywają się w utrzymywanych, przez prywatnych właścicieli, zakładach kąpielowych, co kosztuje 3—4 marek tygodniowo; chodzenie boso po rosie i mokrej trawie ma miejsce na wyznaczonych w tym celu łąkach a przechadzka po kolana w wodzie w przepływającym przez Wörishofen strumieniu.

Wogóle przebywanie tutaj kosztować może dziennie 4—6 marek, co w porównaniu z innemi miejscami kąpielowemi, można nazwać bardzo taniem. Należy jednak przyjąć pod uwagę, że pobyt tu dla osób słabych może być nawet niebezpiecznym. Najprzód bowiem dozór lekarski jest prawie żaden, lekarze kąpielowi nie mają żadnej samodzielności i ze wszystkiem odwołują się do ks. Kneippa; niema nawet apteki, a jest tylko skład ziół zalecanych przez ks. Kneippa. Ciężko więc chorzy nie mają po co tu przyjeżdżać W kąpielach nie ma także żadnego nadzoru, zakłady te są utrzymywane przez tutejszych zbogaconych włościan, którzy dbają tylko o swoją kieszeń i pozwalają brać chorym takie oblewania, jakie się komu podobają. Ks. Kneipp stanowczo nie ma czasu doglądać łazienek, a lekarze nie poczuwają się do tego obowiązku, tak, że przez cały rok nie widzi się w kąpielach żadnego doktora.

Na tem jednak nie kończą się jeszcze przyjemności tutejsze: Chłopi wörishofeńscy, zbogaceni niezmiernie na gościach, zhardzieli i zdemoralizowali się do tego stopnia, że nawet swojemu dobrodziejowi, ks. Kneippowi, dokuczają już mocno, nie bojąc się go i nie szanując Jedyna władza tutejsza, zarząd gminny, składa się z tychże samych chłopów, którzy naturalnie trzymają stronę swoich towarzyszów przeciw gościom, ci więc narażeni na wszelkie nadużycia, nie mają zadnej opieki prawnej; szczególnie ludzie chorzy, zwłaszcza kobiety znajdują się nieraz z tego powodu w przykrem bardzo położeniu.

Gmina tutejsza zbiera od gości kąpielowych znaczne pieniądze, lecz nic prawie nie czyni dla udogodnienia im pobytu; po deszczu błoto jest ogromne i przejść przez ulicę niepodobna. W innych miejscach kąpielowych niemieckich bywa zawsze muzyka, bywa sala ogólna dla gości, gdzie można znaleść pisma i gazety. Tego wszystkiego w Wörishofen ani śladu. Jedyną rozrywką gości bywają przechadzki do poblizkich lasów, w chacie zaś podczas słoty lub w zimie trzeba siedzieć w wilgotnym i chłodnym pokoju, jeżeli się ma wstręt do dusznej restauracji lub niemieckiej knajpy gdzie można czytać monachijskie groszowe gazetki Administracja znów związku kneippowskiego (Kneippverein) spoczywa w rękach osób bynajmniej do tego niepowołanych, a pobierane od gości opłaty różne idą tylko reklamy w dziennikach. Dzisiaj Wörishofen musi mieć corocznie gości, inaczej bowiem grozi mu bankructwo, ludzie więc miejscowi oblegają ks. Kneippa, aby pracował ciągle, a człowiek ten zacny, ale łatwo powodujący się względami na dobro swych parafian, ustępuje im we wszystkiem, przez co i on pracuje nad siły i chorych zawód tu spotyka. Gdyby nie ta chciwość mieszkańców tutejszych, nie reklama iście amerykańska (Kneippvereinu), przyjeżdżałoby tu mniej gości, ale kazdy chory znalazłby za to większą, opiekę i nie narażałby swego życia, jak teraz, kiedy zamiast polepszenia, znajduje tu nawet śmierć nieraz.

(Dokończenie nastąpi.)